

Wychodzi co niedzielę jako bezpłatny dodatek do dziennika »Głos Narodu«.

Przedpłata na sam »Głos literacki i społeczny« wynosi rocznie 8 koron, półrocznie 4 korony, kwartalnie 2 korony.

Redaktor kierujący: KAZ. EHRENBERG.

Redakcya i Administracya: Garbarska nr. 7.
Telefon nr. 309.

Sekretarz Redakcyi: WITOLD NOSKOWSKI

Nr. 13. Kraków, dnia 31. marca. 1901.

W OCZCZENIU ROCZNICY PRZYSIĘGI KOŚCIUSZKI.

Czem dla smutnych i nieszczęśliwych nadziei gwiazdka, dla biednych i stroskanych słodkie słowo porady i pomocy, dla szukających drogi oswobodzenia się z pod przemocy, wskazanie szlaku niezawodzącego i dla tych, którzy pragną wolności Ojczyzny przewodnictwo pewne i szlachetne — tem dla nas pamięć Kościuszki, przykład bohatera, jaśniejącego sławą nie tylko wśród nas, ale wszędzie tam, gdzie depcą despotyzm, a wielbią sprawiedliwość i wolność. Bohater ten, którego pamięć z pietyzmem jest wielbioną, o którym ledwie że z kolebki wyszłym pacholętom matki prawią rozliczne przypowieści, a dłonią ludzi wzniesiona mogiła gwarzy wielką pieśń wdzięczności narodu, ten bohater, o którym śmiało rzec można, że najtrwalszej pamięci wieniec sławy na czoło Polski włożył, to przykład dla nas, to obrońca praw naszych, to ojciec praw naszych, to ojciec naszych idei i haseł i twórca odrodzenia Polski w przyszłości.

Z CARSKIEJ IMPERJI.



Rozruchy studenckie w Petersburgu.

I słusznie zwą go gwiazdą narodu, bo jest on nią rzeczywiście, bo zajaśniał wzorem bohaterstwa i zrozumienia, gdzie leży siła narodu naszego, bo otworzył nową drogę pracy, wskazał w czem ukryty jest talizman wolności i przywiódł do walki z wrogami lud, nigdy przedtem do tej ofiarnej pracy nie wzywany.

Polska, potężna przedtem i sławna, Polska stara i dawna, opierająca się tylko na tarczach szlacheckich i karabelami odważnych rycerzy broniąca się od sąsiadów, upadła niepowrotnie. Zatruła ją cudzoziemczyzna, osłabiła zbytnia swoboda i buta, złamała moda i przepych, okuła zdrada i zapomnienie o służbie Bożej, karnej, świętej i sprawiedliwej. Upadła, jak ginie orzeł przebity strzałą zatrutą, jak znika jasność, gdy chmura słońce zasłoni. Upadła nieszczęśnie i upadkiem tym przywaliła tysiące ofiar niewinnych, zdruzgotała to wszystko, co było przedtem około niej sławą, mocą i prawem — a wrogowie z tryumfem depcąc po niej, podpisali wyrok śmierci.

Bezprawia wrogów i despotyzm plugawy porywały tysiące ofiar z objęć rodziny, z ojczystej zagrody wywożąc je w Sybir, a gmach wolności Polski runął w gruzy.

Dawna Polska upadła lecz naród żył. Pod ciosem nieszczęść obudził się duch nowy, poczęto szukać ratunku i drogi poprawy. Wtedy zabłysnął geniusz wolności prawdziwej, hetman w sukmanie, wódz, powołujący do obrony Ojczyzny wszystkich w kraju i stanął na czele Polski odradzającej się, czerpiącej siły z głębi czarnej ziemi, z zagonów twardą dłonią ludu pooranych, wyrywającej się do życia z pod strzechy wieśniaczej jak z gniazda nowych orłów białych. Nowa Polska, oparta nie na mieczu lecz na pługu, chlubiąca się nie tarczą szlachecką lecz kosą racławicką, lśniąca białą świtą wieśniaczą i dłońmi od roli, to dzieło Kościuszki, to fundament pod przyszły gmach niepodległości, to przykład dla nas jak dążyć do lepszych dni i życia kolei. Czcijmy wszyscy bohatera wolności, hetmana nowych zastępów sił zbrojnych Ojczyzny naszej! Czcijmy Kościuszkę wspomnieniem jego czynów, cnót, poświęcenia się i oddania na służbę Ojczyźnie, ale cześć ta nie na zewnętrznych odznakach ma się tylko opierać. Trzeba zrozumieć jak Kościuszko miłość wolności, trzeba wiedzieć, w czem znaleźć możemy szczęście narodu.

Młodość Kościuszki to słodka i cicha pieśń życia rodzinnego, wedle dawnych tradycyj i zwyczajów prowadzonego. Wykołysał się on w cieniu drzew, okalających dworek strzechą okryty, wychował na kolanach matki, uczącej go wraz z pacierzem miłości Ojczyzny i uczył się początkowo w domu rodzicielskim, mając za nauczyciela sta-

rego konfederata, bojownika obytego po świecie. Przeszły chwile tego życia spokojnie. Młodzian ze szkół w miasteczku wstąpił do szkoły kadeckiej i tu począł kształcić się prawdziwie po obywatelsku. Codzień budziło go hasło: „Wstań Ojczyzno wstań“ codzień też myśl młodego Tadeusza oddana sprawie Ojczyzny rwała się do służby obywatelskiej, do rozważania tego co więdnieje w kraju, a młodzian hartowany przez własną swą wolę i swe zamiary ujmował sobie snu, pokonywał przeszkody i szedł wytrwale naprzód.

Po ukończeniu szkoły kadeckiej wyjechał dla dalszego kształcenia się za granicę.

Za powrotem służył w randze oficera w wojsku naszem, ale mimo najgorętszych chęci nie pozostał tu długo, bo ówczesny stan kraju i administracyi jego był taki, iż dla dobra Ojczyzny nic nie robiono, lecz wedle rozkazów carycy kierowano losem narodu. To pierwsza kartka z historyi życia Kościuszki. Druga poczyna migać różowym promykiem miłości bohatera naszego. Rozpala się to słodkie uczucie w sercu Tadeusza... ogarnia jego duszę i zostaje w niej do końca, lecz jest to miłość smutna i nieszczęśliwa. Panna Ludwika Sosnowska, córka hetmana, nie może zostać żoną Kościuszki, bo ten niema majątku dorównywającego bogactwu panny, bo jest synem ubogiego szlachcica z Litwy. Więc dzieje się historya znana i często powtarzana. Pannę zmuszono do wyjścia za mąż za kogo innego — Tadeusz wyjechał z ojczyzny, bo mu potrzeba było do życia pracy potężnej i wielkiej, bo duch jego pragnął obrony uciemiężonych, a w Polsce... naówczas bawiono się. Król tańczył, stroił się, otaczał artystami i poetami, zachwycał się sztuką, moskiewscy generałowie uśmiechali się zalotnie do Polek, a żołdactwo dzikie paliło wsie, grabiło dobytek, a po cytadelach rozlegały się jęki niewinnie więzionych, i na Sybir runęły już kibitki, uwożąc ofiary niewinne.

Kościuszko odpłynął daleko od Ojczyzny.... Stanął na ziemi nowego świata, zapisał się w szeregi walczących za wolność ludu pognębionego przez Anglików i w ofiarnej tej służbie za wolność ojczyzny obcej urósł na bohatera wielkiej sławy.

Lecz sława i uznanie czoła nie rozweseli temu, który ma w głębi duszy ból głęboko ukryty, ani też najlepsze powodzenie nie uszczęśliwi tej duszy, która tęskni za Ojczyzną i pragnie jej dobrobytu.

Wrócił Kościuszko na ziemię rodzinną, osiadł we wsi ojczystej na Litwie, a pracując jako rolnik dumał o polepszeniu bytu tej najdroższej matce Ojczyźnie, która już raz srogą ręką wrogów pokrzywdzona, silnej i mężnej potrzebowała obrony na przyszłość. Myślano też o tem i w kraju. Zaczęła się praca podniosła i wielka, której owocem była Konstytucya 3-go Maja. Wolność i równouprawnienie wszystkich stanów ogłoszono. Naród zagrzmiał radosnym okrzykiem nadziei — nad Polską zabłysła gwiazdka lepszej doli. I komuż z nas nieznane dalsze dzieje nasze z tej epoki?... Jak fałszywy zgrzyt żelaza po szkle, rozległo się po Polsce echo Targowicy.

Zdrada nikczemna i podła wykopała przepaść bezdenną — Polska obalona, z jękiem runęła w grób ponurego upadku moralnego... i zdawało się, że wszystko już przepadło. Rozpoczęła się walka bolesna; Kościuszko zwyciężywszy kilkakroć wrogów uchodzić jednak musi za granicę, a w Grodnie sejm niemy podpisuje drugi rozbiór.

Niepodobna dać się tak ciemiężyć — zawołali Polacy, a Kościuszko wyrzekł pamiętne słowa: „Pierwszy krok ku wolności jest odważyć się być wolnym“. I poszły echem dalekiem po kraju hasła powstańcze i poczęto liczyć swe siły, zbierać broń, aż wreszcie nadszedł 24 marca, w którym ogłoszono walkę przeciw ciemiężcom. I na rynku naszego prastarego grodu stanął bohater, okryty sławą zdobytą w walce na drugiej półkuli, przysięgając, że władzy swej na niczyj ucisk nie użyje, lecz tylko ku oswobodzeniu Ojczyzny dążyć będzie.

Po dniu przysięgi i ogłoszeniu powstania wkrótce już zawitał dzień chwały: oto kosy chłopskie okryły się sławą pod Racławicami. Nowa Polska, w pełniejszej chwale i blasku stanęła przed okiem Europy; jak iskrą elektryczną poruszone wielkie masy ludu urosły w bohaterów i przyniosły Ojczyźnie już nie jak dotąd chleb z pól rodzinnych zebrany, ale obronny zastęp rycerzy, wychowanych nie w szkole rycerskiej, lecz dojrzałych pod promieniami słońca Tadeusza Kościuszki, wzywającego do boju.

Nie ciemny to był lud, który mógł tak w jednej chwili przejrzeć i zrozumieć, kędy go naczelnik wiedzie, nie obojętne też tam serca były, gdy zdołały na serdeczne i bratnie odezwanie się iść do boju i miłość Ojczyzny czynem udowodnić.

Po Racławicach poruszyła się Warszawa. Tu Kiliński i Morawski z innymi zdołali wśród mieszczan i rzemieślników obudzić ducha, powołać do czynu, a zwycięstwo uwieńczyło tę pracę.

Po długiej walce uległiśmy pod Maciejowicami... jasna nić nadziei została przecięta. Kościuszko wyjechał i już więcej do Polski nie wrócił; aż dopiero po śmierci zwłoki jego przeniesiono nad brzegi Wisły i w grobowcach królewskich złożono.

Zdawałoby się że już koniec. Zimny głaz okrył trumnę bohatera i wdzięczność narodu należną cześć mu oddała... lecz nie. Z czynów wszystkich ofiara wdzięczności jest najwznioślejszym, a tym właśnie stało się wzniesienie mogiły Kościuszce.

Piękniejszego pomnika nad mogiłę niema naród żaden, a my też z chlubą i radością spoglądając na tę ukochaną pamiątkę narodową, na to dzieło pracy rąk tylu, przyznajemy, że jest ona skarbem naszym i zdaje się w obronie jej i Wawelu zdolni bylibyśmy krew wylać i wiele poświęcić i nie dozwolić na jakiekolwiek jej zmienienie. Lecz przecie do tego pomnika najpiękniejszego w Polsce dodać jeszcze możemy i inny, równie wzniosły i poważny, równie z ofiar wzniesiony: to praca nad oświeceniem ludu.

„Najwznioślejsza pieśń, mój synu, pieśń dobrego czynu“ powiada poeta; najlepszem uczczeniem pamięci bohatera, naśladowanie jego zasad i czynów, a zatem, chcąc uczcić tę rocznicę jak należy z pożytkiem dla narodu i dowodem miłości dla ludu, winniśmy całą siłą duszy i serca przykładać się do oświecenia warstw ludowych. Będzie to jedynym darem, jaki naród polski winien złożyć na ołtarzu pamięci dzielnego wodza — wielkiego obywatela i jednego z największych synów Ojczyzny.

NA CZASIE.

Parę dni temu uczuliśmy na licach pierwszy pocałunek kochanki — wiosny. Piękna wietrznica zapomniała w tym roku dawnych sporów, prowadzonych zwykle z poczciwym starym wujciem — kalendarzem i zjawiła się nader punktualnie, ale poco? Poto, by obyczajem kokietek błysnąć oczkiem, pokazać ząbki w uśmiechu i — zniknąć. Na miejsce rozkosznej czarodziejki mamy teraz znowu śnieżnowłosą staruchę — zimę, której zgryźliwe docinki szczypią nas po nosie i uszach, wpędzają do mieszkań lub... handelków i dają *iustam causam* do żalów na niestałość kobiecą.

Najgorzej oszukała młoda zalotnica swych platonicznych kochanków, wieszczów od »zielonej runi« »szarych skowronków« »skromnych fiołków« i tp. akcesoryj zielonej muzy wiosennej. Biedni ci wynalazcy nowych rymów: »wiosna — radosna« »miła — wróciła« »drzewa śpiewa« »pastuszek — muszek« etc. etc. mają obecnie kłopot z wynajdywaniem zimowych końcówek, które od listopada mogły się już były nawet Słowackiemu wyczerpać! To też w dziedzinie poezyi zastój kompletny. Innymi laty, równocześnie z pojawieniem się pierwszych pączków rzodkiewki na straganach przekupek, redakcye bywały zasypywane stosami czułych rymów. Obecnie, wiosenne marzenia snać zamarzły w piersiach lirycznych wieszczów, bo kosze redakcyjne daremnie czekają na swoją wiosenną porcyę zarymowanego papieru; rzodkiewka przestała już być nowalią, a wierszy jeszcze nie ma.

Jeden z moich żonatych przyjaciół patrząc mi przez ramię zauważył właśnie, że z tego co napisałem, można zaraz odcyfrować, iż żyję jeszcze w bezżennym stanie.

— Mężowie, mój kochany, nie potrzebują kalendarza ani też — kosza aby zeń wyczytywać zbliżanie się łagodnej pory roku. Jeszcze bociany w ciepłych krajach, kiedy termometr czułości małżeńskiej, podskakujący gwałtownie o kilkanaście stopni, ob-

---

[9] MATCE RZECZYPOSPOLITEJ.

POWIEŚĆ MIESZCZAŃSKA.

Ze starych dokumentów wypisał LUDWIK STASIAK.

Ciąg dalszy.

We dwa lata potem spadła pierwsza nawała szwedzka, a choć górnicy pieniądze brackie dobrze w kopalni ukryli, choć skarby kościelne skryto w piwnicach o ślepem wejściu, przecież Karol Gustaw nałożył na miasto nielitościwą kontrybucyę, przyczem wojsko splądrowało okrutnie mieszczańskie mienie. Mistrz blacharski Jan Buczyński przyjął wracającego z podróży Srokę otwartemi rękami i do roboty na nowo przyjął, choć nie było w warsztacie nawet pół zajęcia, ile było przed najazdem szwedzkim i zarazą.

* *

Nie było zarobku, odpadła noworoczna kolęda, ustały huczne i bończuczne a tak częste w życiu cechowem wyzwoliny, na których majstrowie i czeladź po trzy dni pijała. Nie było za co pić, nie było animuszu ani fantazyi na wyprawianie godów.

Do wszystkich niepowodzeń Maćka przyszło jeszcze jedno, najcięższe, które kamieniem na sercu legło, wszystkie myśli zabrało...

Pięć lat terminował w warsztacie Buczyńskiego, trzy lata pracował u niego jako czeladnik, a nic nadzwyczajnego nie widział w jedynaczce swego majstra, Kasi Buczyńskiej. Ot dziewuszka sobie jak dziewuszka. Włosy miała płowe, zawiązane w dwa ubogie kosmyki, oczy siwe, a katankę przeważnie brudną i podartą, jako zwyczajnie dziewuszyna nielubiączego pieniędzy wydawać rzemieślnika. Ile razy majster kazał mu pomagać jej paść krowy, ile razy zbierał z nią bławatki, rwał maki, aby ubrać niemi figurę Pana Jezusa. Ile razy!

Trwało to całe lata.

Czasem, gdy paśli koło polnego szybu, puścili na góry bydło a sami poszli się patrzeć do szybu jak sól na ślągach ciągną. Czarna jak smoła lina jechała z dołu i jechała, błyszcząc mazią jakby z czarnego piekła jechała.

Gdy szybny na chwilę się oddalił, brał Maciek dzieweczkę na ręce, a kołysząc ją nad brzegiem czarnej czeluści szybu groził.

— Kaśka, bo cię wrzucę! Kaśka, bo cię wrzucę!

Dziewczę broniło się ze śmiechem, czepiając się szyi Maćkowej, a Maciek rzucał dziewczynę na bławatki i rumianki, które opodal kwitły na ugorach. Kiedyindziej znowu wpadali malcy do kieratu, który sól ze ziemi ciągnie, a ludzi na dół zwozi. Gdy lina szła na dół, a kierat sam chodził bez koni, Kasia i Maciek siadali na przęsłach kieratu, który woził ich dookoła olbrzymiej areny, w pędzie takim, że wicher dziewusze włosy rozwiewał. Naśladowały dzieci furmańskie głosy kieratowego, wołając:

— Hara na wider! Hara na wider!

Kieratowy śmiał się...

— Tylko nie pospadajcie raki! Nie pospadajcie.

Po powrocie z podróży nie poznał Maciek Kasi. Jakoby ją coś odmieniło. Jako pączek róży z listowia wyjdzie, otulony zieloną kolczastą powłoką, aby przez noc czerwcową w rozkoszny różowy kwiat się zamienić, tak pod niebytność Maćka zakwitła ta dziewczyna. Jak chojak sosnowy wysmukła, jak lilia bielutka i jak wiosna wabi do siebie szczęściem, młodością, urodą. Powitała go radosnym uśmiechem, wyciągając białą rękę ku niemu:

— Raduję się że pan Maciej w dom nasz powrócił.

Pochwycił Maciek jej dłoń w swą ogromną czarną od pracy blacharskiej i poparzenia łapę i słowa przemówić nie mógł.

I gdy na drugi dzień wstał, nie mógł o niczem myśleć, tylko o Kasi, wszystkie myśli uciekały do niej, całe serce zwracało się ku niej. Z dnia na dzień coraz gorzej i ciężej mu było, coraz bardziej serce mu biło, gdy z domu do warsztatu i domu Kasi się zbliżał...i coraz większą, nieopisaną radość czuł, gdy był przy niej, gdy patrzał na jej śliczną postać. Zdawał sobie jasno sprawę z tego, że to jest kochanie o którem śpiewki tyle mówią, które tyle szczęścia i nieszczęścia przynosi.

Kasia nie stroniła od chłopaka wcale, snać i jej było przyjemnie być przy Maćku, rozmawiać z nim, pomagać mu nawet przy pracy.

Czasem, gdy lutował kwarty lub lejki z blachy robił, patrzała na zwinność i zręczność ojcowskiego czeladnika.

Raz topił Maciek cynę, która stopiona w ogniu jak czyste żywe srebro ze sztaby w błyszczących kroplach spływała. Rzucił kroplę cyny na deskę sosnową, a ta sycząc ścięła się i czarną spaleniznę na desce zostawiła.

— Moja ręka, panno Kasiu, twardsza od deski sosnowej. Patrz panna.

Rzucił kilka pereł wrzątku cynowego na swoją dłoń kilka mgnień oka potrzymał je na niej i zrzucił na ziemię zsiadłym już metalem.

Dziwowała się dziewczyna wytrzymałości i zimnej krwi chłopca.

— Dla panny Kasi dałbym się w kipiątku ognia topić...

Dziewczyna oblała się jaskrawym rumieńcem, zasłoniła twarz fartuszkiem, mówiąc:

— To dobrze, mój panie Macieju...

I nie mogąc chłopakowi w oczy patrzeć, uciekła do czeladniej izby.

Innym razem przyniósł Maciek do warsztatu złote dukaty, aby się przed czeladzią i majstrem nimi przekazać.

— Patrzaj panno Kasiu. Te śliczne dukaty przysłał mi sam król jegomość Władysław, gdym przed laty banię krakowską lutował. Widział ci mię najjaśniejszy pan na szczytach maryackiej wieży i tak moję przytomność uhonorował. Chowam je na pamiątkę i wolałbym koszulę sprzedać, żydom wodę nosić niż się wyzbyć serdecznej i drogiej pamiątki (D. c. n.).

wieszcza nam, iż wkrótce słońce wstąpi w znak wiosennej sukni i nowego kapelusza. Daremnie perswadujemy, iż wodomierz kieszeniowy wskazuje na stały odpływ. Do obu tych aparatów przyłącza się w takim razie trzeci, barometr, i spada wbrew wszelkim prawidłom meterologii — na burzę!

Takim to sposobem — zakończył — na dworze panują sobie jeszcze w najlepsze mrozy, podczas gdy nam już »robi się ciepło« — i to nie na żarty.

Silne współczucie, jakiego doznałem słuchając skarg poczciwego żonkosia, znacznie jednak osłabło, gdy po chwili do pokoju wsunęła się dystyngowana postać krawca, który ma szczęście kredytować mej osobie różne części futerałów na moją ziemską powłokę. Przypomniałem sobie, że czas pomyśleć o lżejszem ubraniu i zrobiło mi się dość dwuznacznie na sercu, na wspomnienie różnych obietnic, poczynionych w zimie wielkiemu mistrzowi krawieckiego zakonu...

Tymczasem Nitkowski okrągłym ruchem ręki rozsypał już po stole całą lawinę próbek.

— Cóż pan chce za zarzutkę z tego materyału? — spytałem, dzierżąc w dłoni brudno zielony strzępek.

— Sześćdziesiąt — panie dobrodzieju — odparł zagadnięty.

— Ależ panie?!! Tak drogo?

— Wszystko podrożało. Robotnik, materyał, życie, mieszkanie. Trzeba przecież jakoś żyć na świecie.

— Dobrze, ale sześćdziesiąt?!! Może koron? — dodałem, z odcieniem nadziei w głowie.

— Ja tam wolę liczyć na starą walutę. Te »koruny« i »holery« nie na moją głowę...

Widząc że mój dostawca nie jest pozbawiony pewnej dozy złośliwości, wolałem zwrócić rozmowę na garnitur wiosenny i czarne ubranie. Niestety! Wątek pogawędki rwał się co chwila, przecinany nożycami bardzo brzydkich słów jakoto: czterdzieści pięć, pięćdziesiąt, niemogę taniej itp., w obec czego uważałem za stosowne zakończyć dyskurs i dawszy Nitkowskiemu na conto rachunku kilkanaście... obietnic, wyprawiłem go z powrotem w krainę igły i nożyc, sam zaś pogrążyłem się w dumaniu.

— Szewc, krawiec, węglarz, korzennik, nafciarz i inne tym podobne filary naszego ziemskiego bytu — myślałem sobie — ubolewają nad tem że »wszystko podrożało.« Bardzo pięknie. Na kim jednak odbija się najbardziej to podrożenie? Czy na nich samych? Po części — tak, lecz każdy z nich ma przynajmniej swój własny towar po cenie kosztu, podczas gdy np. urzędnik nietylko nie może odbić sobie zwyżki artykułów spożywczych na skórze konsumenta swoich wyrobów, lecz nawet to, co sam wyrabia na nic pozytywnego mu się nie przyda. Krawiec uszyje sobie ubranie po cenie produkcyi, węglarz ma tańszy opał, lecz czyż można ubrać się we wyrok sądowy albo też zapalić »kawałkiem« skarbowym pod kuchnią?. Wszak nawet ś. p. Łaszcz używał kondemnat sądowych tylko na podszewkę do swojej delii, ergo musiał sobie kupować materyał na ten strój, co się zaś tyczy palenia w piecu »kawałkami« urzędowymi, to używanie ich na cel podobny mogłoby natrafić na pewną trudność, aczkolwiek nieraz na los taki całkiem zasługują. Cóż więc ma robić człowiek, zalewany falą drożyzny, skoro pensya jego nie rośnie bynajmniej w stosunku do cen towarów potrzebnych mu do życia? Skoro w Rosyi podrożał cukier, czynownicy podnieśli natychmiast taryfę łapówek. Dobrze, ale »zgniły zachód« galicyjski przestał się już podobno cieszyć instytucyą przekupstwa? Co zatem począć?

Snując te wiosenne pytania mimowoli podniosłem zamyślony wzrok ku niebu. Było zachmurzone. Snieg padał dużymi płatami. Słońca dojrzeć nie mogłem. —

Pertinax.

PANI LUCYNA.

O zmarłej niedawno Lucynie Ćwierciakiewiczowej, znanej autorce tylu dzieł kulinarnych, zamieszcza jedno z pism warszawskich następujące wspomnienia:

Każda epoka i każde środowisko posiada osobniki „wyrastające“ ponad tłum przeciętny. Jak z tego tłumu wyodrębniają się geniusze, talenty i wszelkie charaktery, tak samo, oczywiście w jowialno-sensacyjnem znaczeniu, nabierają mniej lub więcej szerokiej popularności ludzie... ekscentryczni. Odznaczają się oni taką czy owaką oryginalnością, a ztąd nazywa się ich „oryginałami“. Kiedy o kim się słyszy wyrażenie: — „A to ci typowy oryginał“ — wiemy co o nim sądzić.

Oryginałów takich powszechnie znanych nie już w jednej sferze, lub ograniczonej miejscowości, lecz w Warszawie, ba! w całym kraju mieliśmy w zeszłym stuleciu sporą galeryę. Kilka postaci z notat i wspomnień osobistych pragniemy właśnie sylwetkowo przypomnieć. Ponieważ obyczaje rycersko-salonowe nakazują dawać pierwszeństwo damom, zaczynamy więc od sylwetki... pani Lucyny, z której zgonem zniknęła z widowni Warszawy arcyekscentryczna osobistość...

. . . .

— Czy grasz pan w preferansa?

— Co? dlaczego?

— Grywasz czy nie?

— Gram, ale...

— To siadaj i zastąp mnie, bo ja muszę przetańczyć kadryla. Tylko mi nie woadnij bo...

I w jednej chwili zostałem posadzony przy zielonym stoliku, w zastępstwie nieznanej mi damy lat czterdziestu czy więcej, z partnerami również nieznajomymi. Było to przed 30 z górą laty na zabawie u państwa Wir... w kilka tygodni po mojem osiedleniu się w Warszawie.

Kiedy się współgrającym przedstawiłem, jeden z nich powiada:

— A pamiętaj pan, że jeżeli postawisz płatkę ona nie przyjmie, ostrzegam...

— Chyba pan zna zwyczaje pani Lucyny — rzecze drugi.

— Pierwszy raz tę damę widzę — odparłem.

— Ha! ha! Złapała nowicyusza — zaśmiał się trzeci partner i wymienił nazwisko autorki 365 obiadów.

Podskoczyłem na krześle... O ekscentrycznościach bowiem pani Lucyny, nie znając jej osobiście, wiele słyszałem.

Jakoś karta mi szła dobrze i gdy w pół godziny, zadyszana galopadą, kończącą kadryl, pani Lucyna wróciła do stolika, wszedłem z pulą na plusy.

— Podobasz mi się kochanku — rzekła, uderzając przyjaźnie wachlarzem po ramieniu. — Jak się mój młody panie nazywasz?

Usłyszawszy nazwisko i kilka szczegółów z procedencyi powiada:

— Znałam pańską matkę i ciotkę pannami... Przyjdź do mnie jutro na obiad... punktualnie o 2-ej. Poznamy się bliżej... Wyobraźcie sobie, że ciotka tego młodzieńca miała brzydki zwyczaj głośnego ucierania nosa... Młoda panienka, powiadam wam, trąbiła na nosie, jak tryton pułkowy i...

Uciekłem, nie słuchając dalszego opowiadania o mojej ciotce. Na obiad oczywiście nie poszedłem. Gospodarz domu, któremu zaraz opowiedziałem o oryginalnem poznaniu pani Lucyny, śmiał się mówiąc:

— Oryginał baba, ale ma dobre serce.

Une femme terrible — wtrąciła obecna rozmowie pani X.

Istotnie pani Lucyna była postrachem wielu pań. Każdej umiała powiedzieć coś złośliwego i najbardziej wyćwiczoną w szermierce językowej, potrafiła pokonać czasami ciętym dowcipem, częściej zaś brutalnym frazesem.

Głośnej pięknej pani K., która o jej utworach kulinarnych z przekąsem się odzywała, rzekła publicznie na balu w ratuszu:

— Ach jakie droga pani ma prześliczne brylanty w kolczykach, niejeden mógłby pomyśleć, że są prawdziwe...

Do pani M., powieściopisarki, zaraz przy pierwszem poznaniu zaczęła przemawiać *per* ty, niby do koleżanki-autorki.

— Ach prawda — rzecze z ironią powieściopisarka — pani pisze o plackach.

— A pani pod placki — odcięła się pani Lucyna.

Nigdy z nikogo nic sobie nie robiła. Żadna okoliczność nie była w stanie zbić ją z tropu. Pewnego razu jadąc koleją, poczęła głośno czynić złośliwe uwagi o kimś zajmującym wybitne stanowisko. Jeden ze współpasażerów zażądał tonem grzecznym lecz stanowczym, aby przestała.

— A to mi się podoba... Patrzcie go jaki mi pan... Właśnie, że będę mówiła...

Wówczas pasażer, zagroziwszy odpowiedzialnością, wymienił swe nazwisko i stanowisko.

Lecz pani Lucyna, bynajmniej nie zmięszana ku zdumieniu innych głaszcze go pod brodę, wykrzykując:

— Tak młody i już taki dygnitarz. Winszuję ci kochanku...

Raz przecie kontra brutalność, zaimponowała energicznej niewieście. Pismo humorystyczne „Mucha“, które wówczas redagował Feliks Fryze redaktor „Kuryera Porannego“ i znany specyalista od pożarów, zamieściło podobiznę pani Lucyny, jako kucharki z warząchwią i z zalecającym się do niej Fryzem w uniformie strażaka. Pomysł do tej karykatury dał toast wzniesiony przez Kucza. Dowcipny rymotwórca toastowy, widząc na pewnem zebraniu siedzących obok siebie autorkę 365 obiadów i Fryzego, zawołał:

Jak dobraną jest ta para
Wiwat! strażak i kuchara.

Ale pani Lucyna rozgniewała się, że oblicze jej wyszło w „Musze“ jako karykatura brzydko i staro. Wpadła więc do redakcyi, czyniąc swoim zwyczajem straszne piekło. Jeden ze współpracowników, zastępujący nieobecnego redaktora, słysząc potok obelżywych wyrazów i pogróżek, którym towarzyszyło bicie pięścią w stół i inna niewymyślna gestykulacya, zawołał:

— Wody na furyatkę!

Famulus redakcyjny pochwycił karafkę i dalejże chlustać na panią Lucynę, która na takie zuchwalstwo oniemiała i... zaczęła uciekać...

Nazajutrz przysłała Fryzemu rachunek za zniszczony kapelusz, a w końcu listu nadmieniła: „Podobał mi się ten twój sekretarz, przyjdź z nim w niedzielę do mnie na obiad, lubię ludzi śmiałych i energicznych“.

Ale „energiczny“, przeczuwając odwet nie poszedł.

— Jesteś i mądry, kochanku — rzekła doń w kilka lat później, już ze śmiechem opowiadając innym prysznicową przygodę. Swoją natarczywością i bezwzględnością poczęła pani Lucyna budzić postrach. Ileż razy w Ciechocinku, w Szczawnicy, albo w Iwoniczu, lub Zakopanem, dokąd naprzemiany corocznie jeździła, przybycie jej jedni witali ze śmiechem, drudzy z jakąś bojaźnią.

— No! teraz ożywi się sezon — mówili tamci...

— Dopiero się zaczną niepokoje — biadali inni.

A terroryzm pani Lucyny był wszechstronny. Że restauratorzy drżąc przed powagą specyalistki starali się o polepszenie kuchni — to stanowiło dodatnią działalność głośnego gościa. Lecz biada paniom i pannom, uchylającym się od znajomości i czołobitności. Pani Lucyna w restauracyi, czy na deptaku, otoczona swoim sztabem, czyniąc przegląd „kuracyuszek“, robiła arcyzłośliwe uwagi podniesionym głosem w rodzaju:

— A to się ubieliła...

— Ruchy ma koczkodona.

— Kiedy watowana, ręczę państwu, że watowana!

Kiedy wiek i tusza udaremniły spacery, pani Lucyna stała się zapaloną winciarką. W grze tej, dającej, jak wiadomo, sposobność do sprzeczek i dysput, temperament niewiasty ujawnił się w całej pełni. W Warszawie dla stosuneczków, no i... smacznej pieczeni na partnerach nie zbywało, ale w miejscowościach kuracyjnych unikano partyjki z panią Lucyną. Raz w Marienbadzie widząc w *Kurhauzie* czterech polaków, grających w winta, rzekła:

— Zapiszcie mnie, jako piątą.

Na te słowa gracze przerwali zaczętego robra i nie chcąc wyjaśnień, ani tembardziej przedstawienia się dobrze znanej osobie, czmychnęli z kurhauzu.

W tramwaju gdy nie było miejsca, bez ceremonii wypraszała upatrzonego pasażera.

— Jestem Lucyna C..... — głośno się odzywała w sklepach przy robieniu „sprawunków“, żądając dużych ustępstw i krytykując wszystko.

Miałem sposobność czytać w rękopisie „Pamiętniki“ ekscentrycznej niewiasty. Sądziłem, że znajdę tam groteskowe opisy. Zawiodłem się. Pani Lucyna dała swym wspomnieniom podkład... sentymentalny. Stylem „Nowej Heloizy“, oczywiście w karykaturze, opisuje swoje idealne porywy serca. Rzecz nudna i niesmaczna. Przynajmniej nikomu nie szkodzi, jak np. owe „Panny do towarzystwa“ drukowane w roczniku kalendarzowym. Jednomyślny protest w dziennikach przeciw temu paszkwilowi, zachwiał niemało wpływem pani Lucyny, a raczej terroryzm jej w życiu towarzyskiem stępił zupełnie. Przestano mówić o dobrem sercu „ekscentryczki“, która publicznie zadokumentowała złośliwość znęcania się nad nieszczęśliwemi swemi wychowankami „pannami do towarzystwa“.

— Znaczenie pani Lucyny w zawodzie pomijamy bo to uchyla się z charakteru kreślonej sylwetki. Chodziło nam tylko o wykazanie, że ta postać w całej swej działalności zewnętrznej, miała cechy ekscentryczności niezwykłej, czyli, że może być zaliczoną do galeryi oryginałów.

W zakończeniu jeden jeszcze złośliwy, ale naprawdę subtelny dowcip pani Lucyny.

Będąc za granicą, usługującej dziewczynie powiedziała: „głupia jesteś“. Ztąd skarga do sądu i skazanie pozwanej za obelgę na grzywny. Po wyroku pani Lucyna, udając niewiniątko, pyta:

— A gdybym powiedziała: „mądra jesteś, czy to byłoby także obelgą?

— Nie, atrybut „mądry“ nie stanowi obelgi — odparł sędzia.

— Kiedy tak, więc dziękuję *mądremu* sędzi za równie *mądry* wyrok — z najuprzejmiejszym uśmieszkiem rzekła pani Lucyna...

A.

TEATR CHIŃSKI.

W chwili gdy uwaga całego świata koncentrują się na niebieskiem państwie, trudno by było wyrażać zdziwienie, iż chiński teatr stał się przedmiotem dyskusyi wśród europejskich teatromanów. Prym wiodą w tem, gruntowni jak zawsze, Niemcy. Z książki wydanej niedawno w Oldenburgu

a traktującej o chińskim teatrze wyjmujemy właśnie niektóre poniżej podane ustępy, z których można nabrać niejakiego wyobrażenia o sztuce scenicznej w państwie Środka.

„Niema chyba na całym świecie — czytamy tam — sceny operującej prościejszymi środkami, jak chińska. Cały aparat dekoracyjny składa się tam z paru stołków, stołów i z kawałka muślinu; służy on do przedstawienia wszelkich terenów akcji, począwszy od zwykłego mostu, aż do warownej fortecy. Stąd też na scenie chińskiej rozwielmożniły się strasznie t. zw. symboliczne pozycye, za pomocą których zaradza się w nader prosty sposób brakowi dekoracyj i maszyneryi.

Np. skoro aktor podniesie nogę do góry, to już wszystkim wiadomo, iż siedzi na koniu; jeśli armia, złożona z 5 ludzi przemaszerowuje pod mieczem obcego generała, to znaczy, iż poniosła klęskę. Role kobiece bywają wykonywane przez mężczyzn; kurtyny i kulis zupełnie niema, a aktorzy wchodzą i wychodzą przez jedyne drzwi, zamieszczone w głębi sceny i zaopatrzone firankami. Nad temi drzwiami znajduie się pewien rodzaj loży balkonowej.

Całkiem podobne urządzenie znajdowało się w teatrze angielskim za czasów Szekspira. Loża taka była do zakupienia o ile, rzecz naturalna, nie było jej potrzeba do jakiejś sceny w dramacie np. do sceny balkonowej w „Romeu i Julii". Zresztą można było dostać się do niej za skromną opłatą paru groszy. Nie inaczej rzecz się ma z lożą w teatrze chińskim, choć prócz tego służy ona jeszcze na jeden użytek, o którym się nie śniło angielskim dyrektorom teatru za szekspirowskich czasów. Mianowicie przebywa w niej stale Joss, bożek opiekuńczy sceny chińskiej. Miejsce to zostało dlań umyślnie obrane by mógł wygodnie uczestniczyć w całem przedstawieniu. Widać stąd iż, zdaniem synów niebieskiego państwa, bogowie cieszą się teatrem niemniej od istot przez siebie stworzonych.

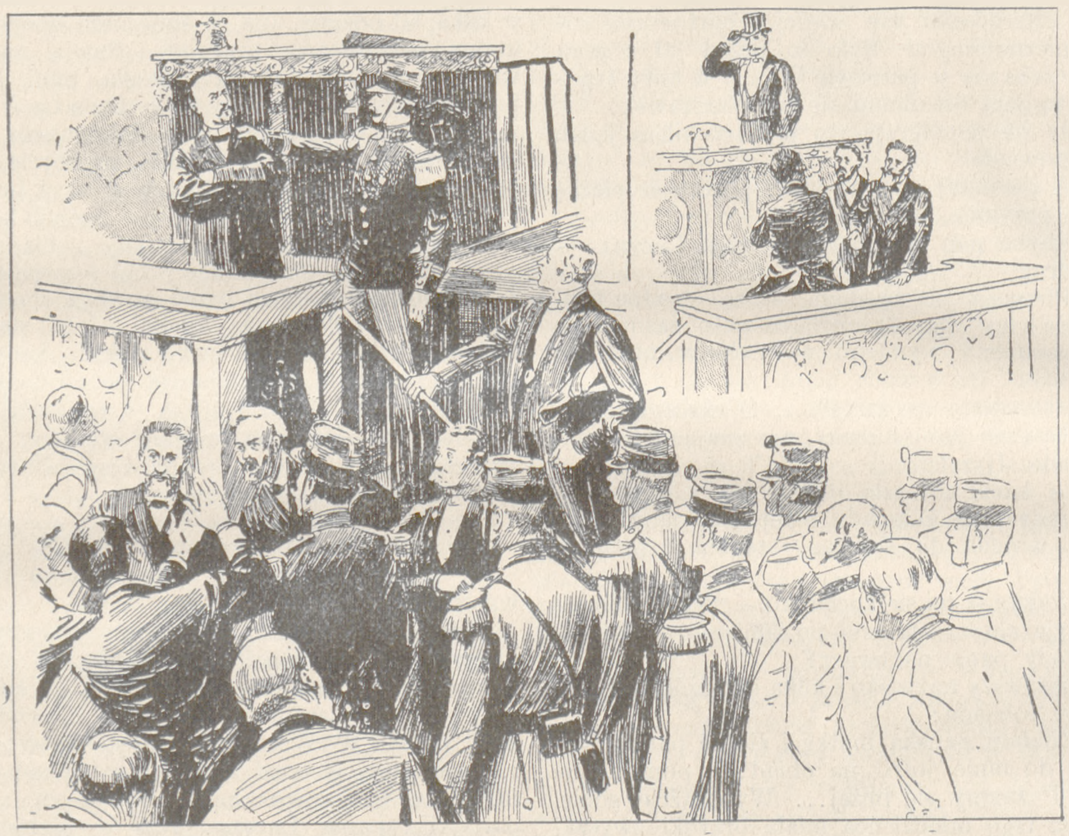
Zmiana dekoracyj bywa zaznaczaną w dwojaki sposób. Jeżeli dalszy ciąg rozpoczętej akcyi rozgrywa się w tymsamym domu, lecz w innym pokoju, to aktorzy za pomocą pantominy uzmysławiają wchodzenie do tego pokoju. W razie gdy teren wypadków zupełnie i z gruntu się zmienia, to wszyscy aktorzy obchodzą poprostu scenę do około w szybkiem tempie trzy razy.

Reżyser jest w chińskim teatrze całkiem nieznaną postacią. W razie wystawiania nowej sztuki próbami kieruje sam autor, który zwyczajnie jest też aktorem. Spis osób występujących w danym utworze mieści się w książce, zawieszonej tak, aby łatwo wpadała w oczy. Ról się wcale nie rozpisuje: autor objaśnia poprostu aktora ogólnikowo o co rzecz idzie i co ma robić. Spisane są tylko ostatnie słowa każdej „kwestyi".

Widać stąd że aktor chiński musi mieć spore wykształcenie i spryt niemały, przedewszystkiem zaś musi znać doskonale historyę państwa niebieskiego i tajniki etykiety, panującej na cesarskim dworze. Publiczność, wymaga od niego, aby ubierał się ładnie i wykwintnie, przedewszystkiem zaś strój jego ma odpowiadać charakterowi i stanowisku przedstawionej osoby. Nieraz jest to rzeczą wcale nie łatwą, gdyż sztuki chińskie bywają osnuwane przeważnie na tle historycznem, więc i kostjumy osób działających są publiczności doskonale znane.

Wszystko to razem wzięte utrudnia chińskim aktorom wielce ich zadanie; i nic zatem dziwnego, że artyści dramatyczni cieszą się w państwie Środka niemałym szacunkiem i, w razie gdy grają dobrze, otrzymują bardzo sute gaże, nie licząc już nawet tytułu „mistrza" którym, jak zapewniają znawcy miejscowych stosunków, chińczycy szafują z niemałem upodobanie i jeszcze większą hojnością.

Niepokoje we francuskiej Izbie deputowanych.



Policya wyprasza Firmin Faure'a ze sali.

Parlament angielski.



Widok gmachu parlamentu od strony Tamizy.

Parlament angielski.



Wiliam Court Gully speaker, (prezydent), Izby gmin.

Akta sprawy Pégouillat.

Humoreska

przez Xanrofa.

W pewnem miasteczku prowincyonalnem (wymieniając jego nazwę popełniłbym błąd nie do darowania) spadł z dachu kościelnego duży kamień na ojca Pégouillat. Ojciec Pégouillat był kaleką o jednem ręku i siadywał od dziesięciu lat na progu kościelnym, prosząc o jałmużnę.

Dziwnem zrządzeniem losu, kamień przetrącił mu właśnie to ramię, którego biedny kaleka zdaniem ogółu wcale nie posiadał, gdyż od niepamiętnych czasów było ono schowane pod łachmanami.

Proboszcz wypędził skutkiem tego biedną ofiarę od progów świątyni. Tym sposobem biedny człowiek, zarabiający na życie zapomocą udawania jednorękiego, byłby — o logiko! — może umarł z głodu dlatego, że stał się w rzeczywistości kaleką. Szczęściem wpadło mu na myśl, że gmina, obowiązana do utrzymywania kościoła, może być pociągniętą do odpowiedzialności za szkody i nieszczęśliwe wypadki spowodowane przez zawalenie się murów i wytoczył miastu proces.

Dochodzenia, śledztwa, badania, sprawozdania, plany, świadectwa i różne papiery wszelakiego gatunku wpłynęły po katastrofie do odnośnego ministerjum — ministerjum tradycyi. Wszystko to zostało sklasyfikowane, zakwalifikowane, zarejestrowane i zawinięte w piękną i trwałą koszulkę z szarego papieru, poczem utworzyła się z tego wspaniała sprawa — sprawa Pégouillat. Wzmagając się szybko, sprawa ta dosięgła w mgnieniu oka wagi owego dużego kamienia, który spadł z kościelnego dachu na nieszczęśliwego jednorękiego, względnie dwurękiego. Ten fascykuł aktów musiałby go wobec sądu zgnieść na miazgę, gdyż okazywało się zeń, jak zwykle w takich razach, że gdyby nie nieroztropność ofiary, katastrofa nigdyby nie była nastąpiła.

Dopóki pan mer nie zażądał aktów, leżały one sobie spokojnie w zielonym kartonie, tak zacisznym i ponurym jak krypta grobowa; od czasu do czasu wydobywano je stamtąd i, bojąc się, aby nie zapleśniały, puszczano je w małą podróż po biurach, skąd wracały pokryte uwagami i dopiskami, jak kufer, co przybywa z podróży zagranicznej oklajstrowany etykietami.

Wreszcie pan mer zażądał listownie aktów. Kancelarya ministra przekazała ten list odnośnemu dyrektorowi, który go znowu oddał naczelnikowi oddziału, ten posłał go do szefa biura, który go oddał swemu zastępcy, ten zlecił go sekretarzowi, który kazał adjunktowi wygotować odpowiedź, a wreszcie adjunkt oddał go w ręce praktykanta zajmującego się kwalifikacyą i rejestrowaniem aktów.

Praktykant począł zatem szukać aktów chcąc je posłać merowi. Aż tu — fakt niesłychany, któremu czytelnik zapewne nie będzie chciał wierzyć — okazało się, że karton zielony był pusty, akta zaś znikły bez śladu.

Zrazu myślano, że to prosta omyłka, gdyż zdawało się rzeczą niemożliwą, by jakiś akt mógł przy takim systemie regestrowania kędyś się zaprzepaścić. Zapewne musi się znajdować w jakimś

biurze i niezawodnie wkrótce zostanie znaleziony. Napisano zatem do mera aby się nie niepokoił i zaczęło się przeszukiwanie „zaległości“. Przeszukiwano bibliotekę i izbę egzekucyjną, grzebano zuchwale w stosach urzędowych dokumentów, które leżały pomiędzy rupieciami, a pewien matematyk obliczył, że siły zużyte przez urzędników przy tej robocie, wystarczyłyby na zbudowanie wielkiej piramidy Cheopsa, lub na dokończenie budowy kanału Panamskiego.

Wszyscy praktykanci łamali sobie zęby na tej pracy, z wyjątkiem jednego, który posiadał sztuczną szczękę i wyjmował ją w biurze z ust, aby jej nie zniszczyć. Sekretarzom ze zmartwienia wypadały włosy i zanieczyszczały kałamarze, co spowodowywało szkaradne plamy w kopiałach; szefowie biur płakali, a dyrektor nie mógł wyjść ze stanu wściekłości.

Przechodziły miesiące, przepływały lata, lecz aktów nie można było znaleźć. Ta strata była plamą na czci ministerstwa tradycyi. Smutne były następstwa tej afery; skutkiem zniknięcia aktów miasteczko przegrało proces we wszystkich instancyach. Znaczna renta na której płacenie skazano gminę, zachwiała finanse miasteczka. Mer, oskarżony o to, że przy zaginięciu aktów szedł ręka niesłychanej bezczelności, w oczach zaś ogółu zapomocą piętrzenia na swoim stołku plik papierów, które mu służyły za poduszkę. Charles, obejmując ten stołek w posiadanie usunął — wiedziony wspaniałem natchnieniem geniuszu — te papiery i spostrzegł przy tem, że tkwią one w tekturce z magicznym napisem „akta sprawy Pégouillat'a“.

Warjując prawie z dumy i radości zaniósł je do praktykanta, który złożywszy na nich pełen czci pocałunek, pokazał je adjunktom, którzy je oddali sekretarzom; ci *in corpore* wręczyli je zastępcy naczelnika, który powierzył je samemu naczelnikowi, ten złożył je tryumfująco u szefa oddziału, który z dumnie wzniesioną głową zdeponował je w gabinecie ministra. Stąd zostały wyekspedyowane do nowego mera w miasteczku z listem zaczynającym się jak następuje:

Panie merze!

„W odpowiedzi na pański przed siedmiu laty do ministeryum wystosowany list, pospieszam przesłać panu żądane akta i t. d. i t. d....“

Woźny Charles otrzymał sutą gratyfikacyę, urzędnicy zostali wynagrodzeni szybkim awansem, a na pamiątkę tego pięknego dnia wyprawiono wspaniałą kolacyę, przy której końcu padły z ust naczelnika oddziału nieśmiertelne słowa:

uniwersytetu wiedeńskiego. „Aula jest zbyt poważnym miejscem — mówiono — aby takie smarowidła śmiały ją znieważać.“

Tymczasem „*Filozofii*“ dostał się na zeszłorocznej paryskiej wystawie złoty medal. Możnaby było zatem żywić nadzieję, że Klimt, zostawszy prorokiem u obcych, będzie także i w swoim kraju oceniony jak się należy. Tymczasem stało się zupełnie inaczej. Zaledwie jakiś tydzień wisiała „*Medycyna*“, drugi obraz z wyż wspomnianego cyklu, w sali secesyi, a już podniosły się na nowo takie same krzyki, jakiemi przywitano swego czasu „*Filozofię*“. Nawet o mury parlamentu obiła się sprawa tego obrazu, gdyż wniesiono interpelacyę, domagającą się wyjaśnień, czy ten skandaliczny wyskok malarskiej fantazyi będzie długo zanieczyszczał moralną atmosferę świątobliwego Wiednia.

O tem, czy „*Medycyna*“ jest naprawdę tak potępienia godną, czy też nie, krążą najprzeróżniejsze wiadomości. Z djametralnie sobie przeciwnych głosów prasy wiedeńskiej również trudno coś wywnioskować, że zaś sami nie oglądaliśmy tego obrazu, przeto nie możemy też ferować o jego moralności ostatecznego wyroku. Dziwnem wszakże musi się wydać, jak jakiś pan, dajmy na to, pan Skene, zapytuje się ministra, czy „nowy kierunek

Kobiety studyujące medycynę na wszechnicy praskiej.



Podczas pierwszego lekarskiego rygorozum.

w rękę z żebrakiem, musiał się podać do dymisyi a przy wyborach do parlamentu padł kandydat republikański, bo historya z aktami wielce zaszkodziła całemu systemowi rządowemu. Czem było wszakże to wszystko w porównaniu z boleścią urzędników ministeryalnych i z migreną, której dostawali codziennie, myśląc o tem, gdzie się mogły akta zapodziać?.

Szukano ich siedem lat. Cierpiały wprawdzie na tem inne sprawy, lecz skoro urzędnik zawołany przez szefa dla wysłuchania wyrzutów z powodu niedbałości w pracy, odpowiadał z uśmiechem: „Panie dyrektorze, szukałem aktów Pégouillat'a“, to czyż można go było zganić? Lecz tyle trudów i tyle wytrwałości musiało w końcu zostać uwieńczone powodzeniem. Siódmego roku znaleziono akta, chociaż bezpośrednio przestały już one interesować strony, gdyż Pégouillat od dwóch lat już nie żył.

Znaleziono je zaś w następujący sposób. Jules, woźny trzeciego oddziału, został zastąpiony Charlesem, który to Charles był o 17 centymetrów wyższym od swego poprzednika (na tę ważną okoliczność zwracam usilnie uwagę szanownych czytelników). Jules, pragnąc wynagrodzić sobie brak wielkości podnosił się co swych własnych oczach zapomocą

— Sami widzicie moi panowie, że w naszem ministeryum bez mała tak jak w naturze! Co prawda nic tutaj nie może być stworzone, ale też i nic nie ginie!

Burza w szklance wody.

Do dziwacznego pałacu secesyi wiedeńskiej pędzą obecnie tłumy żądnych senzacyj zjadaczy wrażeń, aby napaść swe oczy widokiem obrazu, skonfiskowanego w części przez prokuratoryę państwa.

Temu dziwnemu i zarazem smutnemu losowi uległo dzieło Gustawa Klimta, „*Medycyna*“. Ministeryum oświaty poleciło w swoim czasie temu artyście, aby wymalował do auli uniwersytetu wiedeńskiego cztery obrazy plafonowe, przedstawiające cztery wydziały wszechnicy. Klimt zrobił w przeszłym roku początek malowidłem zatytułowanem „*Filozofia*“, które, po wystawieniu na widok publiczny, wywołało protest grona profesorów

sztuki, który sprzeciwia się stanowczo estetycznemu poczuciu większości mieszkańców, ma być uznany za urzędową sztukę austryjacką“? Jeszcze nigdzie na świecie „większość mieszkańców“ nie miała rozstrzygać o wartości jakiegoś kierunku w sztuce! Co innego zgromadzenie przedwyborcze, co innego sąd o dziele sztuki, który musi być u ludzi, posiadających wyrobiony smak estetyczny, nieco innym, niż u szarej masy, stanowiącej ową, tak świetnie przez Ibsena wyśmianą „zwartą większość“. Ciekawym jest wszakże fakt, że po tej obrazoburczej rozprawie w parlamencie, prokurator państwa skonfiskował *posticipando* zeszyt *Ver sacrum*, w którym znajdowała się odbitka części obrazu Klimta. Skutkiem tego zachodzi obecnie taka sytuacya, że publiczność może oglądać skonfiskowany obraz, wykonany na zamówienie ministra oświaty, a potępiony przez prokuratora!

Najlepiej wyszła na tem wszystkiem „Secesya“ wiedeńska. Tłumy garną się do wrót jej pałacu, a kasa nie może pomieścić monety wpływającej za bilety. Gdyby Klimt nie był tak wielkim artystą i gdyby oburzenie parlamentarnych stróżów moralności nie było tak szczere, możnaby pomyśleć, że twórca „*Medycyny*“ posługuje się umyślnie tak oryginalną i olbrzymią, iście Sienkiewiczowską re-

klamą. Na szczęście, artystyczna indywidualność Klimta zdaje się wykluczać w zupełności przypuszczenia co do zwracania na siebie uwagi w sposób tak nielicujący z godnością artysty. Zresztą moraliści zbyt ostro się gniewają; wodotrysk sztucznego, reklamowego gniewu nie zwykł wybuchać z taką siłą.

JAKO SIEJESZ!

Jako siejesz na zagonie
Drobne ziarnka żyta —
Tak też posiej dobre książki
Niech lud je przeczyta.
Lud dla ciebie ziarno rzuca,
Na kawałek chleba —
Tak i jemu na chleb serca
Książeczek potrzeba.

Jako siejesz na zagonie
Pszeniczkę złocistą —
Posiejże i tak po chatach
Gazetkę ojczystą.
Bo gazetka jako ptaszę
I tu i tam spada...
I zanuci piosnkę rzewną,
Dziwy opowiada.

Zejdą kłosy z żyta tego,
Coś go posiał z wiosną,
I z książeczek rozesłanych
Plony kiedyś wzrosną...
I z pszeniczki będą snopy
Jak Bóg dopomoże
I z gazetek, gdy poczciwe,
Zbierzem czyste zboże.

Więc nie żałuj bracie grosza
Na tę siejbę w kraju...
Bo ci strzelą łany kłosem
Kiedyś w lubym maju.
Bo to serce -- ludu serce
Urodzajna niwa —
Jeszcze teraz — przez ciemnotę
Szorstka — nieszczęśliwa.
Lecz gdy zorzesz i zasiejesz
Da ci plon bogaty.
O! siej książki i gazety
Dla ludu — do chaty!

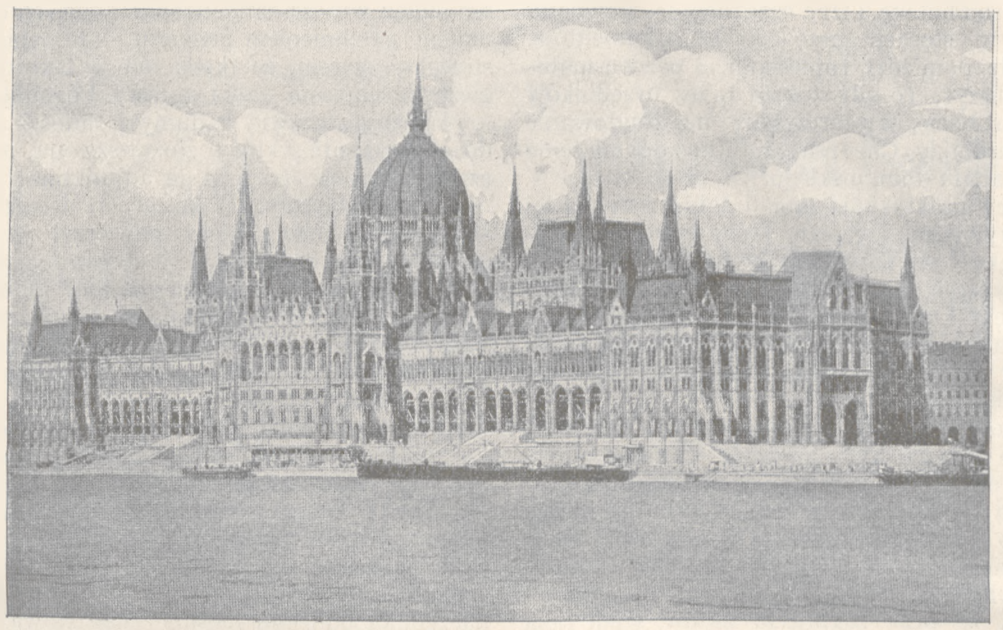
Współczesna powieść japońska.

Cywilizacya zachodnia, która tak szybko rozpowszechnia się w Japonii, nie mogła pozostać bez wpływu i na jej literaturę beletrystyczną. Powieść japońska jest dzisiaj w okresie przejściowym; dawny jej rodzaj, którego początek sięga IX wieku i rodzaj powieści europejskiej, wprowadzony mniej więcej w r. 1867, łączą sie ze sobą, zespalają i wytwarzają ciągle nowe postacie. Te świeże fazy romansu japońskiego skreśla p. Hitomi w jednym z ostatnich zeszytów dwutygodnika skiego „Revue des Revues“.

Autorowie większości powieści japońskich czerpali natchnienie z literatury obcej. P. Mori Oguwai zna dobrze literaturę niemiecką, pisze nawet po niemiecku z równą łatwością, jak w języku ojczystym. Pp. Hasegawa Futabatei i Yazaki Saganoya, którzy wprowadzili do Japonii Turgieniewa i Tołstoja, są przedstawicielami literatury rosyjskiej; Ozaki Koyo, Tsubuszi Harunoya, Koda Rohan, oraz większość innych powieściopisarzy znają język angielski. Rzecz szczególna, że pomimo wielkiego wpływu, jaki literatura francuska wywarła w Japonii, żaden prawie z pisarzów wybitniejszych nie zna francuskiego. Wiktor Hugo, Zola, oraz kilku innych czytani byli, podziwiani i naśladowani, tylko dzięki przekładom angielskim lub niemieckim.

Zrazu powieściopisarze japońscy zapożyczyli u cudzoziemców plany pracy, potem pomysły, a wreszcie formy stylu. Pod względem wytworności i lekkości frazesów, powieściopisarze współcześni nie mogą się równać z Murasakisikibu, znakomitą autorką z w. XI, ani z Saikaku, geniuszem, który słynął w w. XVII; ale co do pomysłowości prace Koya i Rohana nie ustępują niczem dziełom tego słynnego w Japonii pisarza. Wpływ Wiktora Hugo, Turgeniewa i Goethego rozszerzył widnokrąg myśli beletrystów japońskich; treść romansu nowoczesnego jest bogatsza od treści powieści dawnej; abstrakcya, fantastyczność w opisie przyrody i charakterów ustąpiły miejsca realizmowi i ścisłości.

Z krainy Arpada.

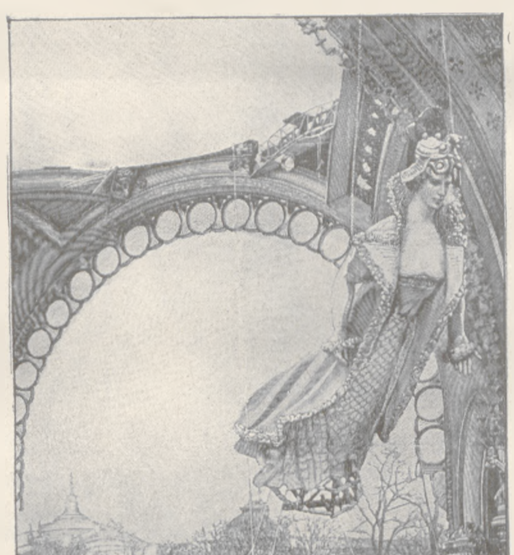


Gmach sejmu węgierskiego w Budapeszcie.

Około roku 1883 nastąpił okres zapału dla powieści cudzoziemskich, politycy i dziennikarze tłómaczyli je z powodzeniem na język ojczysty. Nietylko wszakże utwory literackie zachodu obudzały ciekawość japończyka; czytał z takiem samem zajęciem dzieła socyologiczne, a rzecznicy wolności i równości wzniecali w nim entuzyastyczny zapał. Namiętność polityki, która ogarniała wszystkie klasy, wytworzyła i romans polityczny. Powieściopisarze, którzy byli jednocześnie politykami lub dziennikarzami, opisywali wymarzony rząd reprezentacyjny, jako źródło szczęścia narodu.

W r. 1887 przyszło nowe pokolenie literackie, powieściopisarze istotni, którzy odrzucili politykę i dziennikarstwo. Dotąd powieści były pisane językiem odrębnym, różniącym się wielce od mowy potocznej; nowi beletryści zerwali z tą tradycyą i zaczęli pisać językiem zwykłym, co wywołało

Koniec wystawy paryskiej.



Zdjęcie statuy „Paryżanki“ z bramy wjazdowej.

istną rewolucyę. Głównymi prowodyrami tej reformy byli Tsubuszi i Harunoya, Ozaki Koyo i Yamada Bimiosai. Obecnie pierwszy poświęcił się zupełnie dramatowi, a ostatni już się poniekąd wyczerpał, ale Koyo jest zawsze dotąd jednym z najlepszych powieściopisarzy japońskich.

Jakkolwiek beletryści cieszą się już obecnie uznaniem w ojczyźnie, praca ich nie jest bynajmniej sowicie wynagradzana. Pisarz pierwszorzędny dostaje zazwyczaj 100 franków za powieść, a wielu chodzi od jednego księgarza do drugiego, byle sprzedać rękopis powieści za 50 franków. Wszystkie prawie dzienniki drukują powieści w felietonach, niektóre nawet po dwie naraz. Jak wszędzie tak i w Japonii powodzenie handlowe nie jest dowodem talentu autorów. Można być wielkim, nie będąc popularnym.

Przechodząc do oceny krytycznej p. Hitomi zaznacza, że dzieła Rohana celują myślami filozoficznymi i wzniosłym stylem, ale wśród tłumu wielbicieli nie mają. Styl Koyi jest bardzo prosty i czysty, a utwory jego to wierne obrazy z życia japońskiego. Jest to autor bardzo płodny; miłość gra w utworach jego rolę główną. Obecnie dziennik „Yomiuri“ drukuje jego powieść, która dotąd uważana jest za arcydzieło autora. Zaczęła wychodzić w r. 1897 i jeszcze nie jest skończona; dwa tomy jednak już są sprzedawane w księgarniach. Tytuł tej powieści: „Kouziki-Yascha“ (Szatan złota).

Powieści ich wydawane są w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, gdy romanse Oguwaigo, bardziej cenione przez ludzi wykształconych, dosięgają zaledwie kilkuset.

Powieściopisarze japońscy dzielą się na kilka grup. Na czele „Kenguscha“ (stowarzyszenie przyjaciół kałamarzy) stoi Ozaki Koyo, otoczony licznymi satelitami. Jest on równie sprawny w kształceniu romansopisarzy jak i pisaniu romansów. Jedną z gwiazd tego stowarzyszenia jest Hirotsu Riuro, odtwarzający z wielką wiernością obyczaje japońskie, nadto Emi Soniin, którego szkice celują poezyą, Kawakami Bizan, realista szczery, i Iwaya Sazanami, mianowany niedawno profesorem szkoły wschodniej w Berlinie, autor bardzo dobrych powiastek dla dzieci. Najbardziej znani i najwybitniejsi pomiędzy młodymi powieściopisarzami, Izumi Kiokuwa i Oguri Fouyo, są uczniami Kaya. Stowarzyszenie to, które reprezentuje taki ważny odłam świata literackiego, wywiera wpływ bardzo duży.

Grupa, nazwana „Wasedaha,“ ma za przewodnika Tsuhuszego Harunoyę; nie jest liczna, ale jeden z jej członków, Gota Chugai, zyskał duży rozgłos, napisawszy studyum psychologiczne niemałej wartości. Rohan stoi na czele innej znów grupy, lecz mniej dobry mistrz od Koyna, niewielu ma uczniów. Mori Oguwai, wielbiciel literatury niemieckiej, lepszym jest tłómaczem i krytykiem niż powieściopisarzem, a uczniowie jego idą śladami mistrza. Pisarze, znający literaturę rosyjską, stanowią stowarzyszenie osobne, a największym wpływem wśród nich cieszą się Yazaki Saganoya i Hasegawa Fontabei, autor słynnego romansu „Ukigumo“ (obłoki falujące).

Poza temi szkołami wybitniejsze stanowisko zyskali: Aiba Kosou, autor pełen humoru i werwy, Tobutomi Rokuwa, celujący wytwornym stylem i Chizula Reisui, poeta, który z wdziękiem opisuje piękność przyrody.

Bezdomna młodzież.

Jeszcze brzmią echa w naszych uszach głośnej, a przykrej kryminalnej sprawy — jeszcze przy każdem zetknięciu się kilku jednostek, nie obojętnych na sprawy dotyczące młodzieży naszej i ruchu jej poza szkolnego, poruszane są rozmaite myśli i rozważane zdania, bo i trudno, by społeczeństwo biernie, a zimno taką kwestyę przyjęło.

Młodzieży naszej — brakuje wiele. Brakuje jej i w wychowaniu domowem i w wychowaniu szkolnem. Gdyby zabrać się do wyjaśniań tych braków, potrzebaby się rozpisać szerzej. Na razie chcemy o jednym pogadać.

Młodzież potrzebuje życia pełniejszego treścią i zezwalającego jej więcej na rozwijanie myśli i uczuć, nad te formułki, któremi ją skrępowano, zniewolono i zgnębiono. Wiemy dobrze, iż szkoła nic nad naukę nie da, a naukę daje nie jako ziarno lecz jako łupinę, nie jako treść lecz jako formę. Młodzieży szkolnej nie wolno zawiązywać żadnych

kółek koleżańskich, chociażby o najwznioślejszych celach, nie wolno jej do żadnych towarzystw należeć, nie wolno jej być niczem więcej jak tylko maszynkami, kującemi wiedzę.

Ustawy i przepisy szkolne mają być pancerzem na myśli, uczucia, marzenia, ideały, ale duch czuwa i żyje, nie tak łatwo da się uśpić, zaś morfinowanie ciągłe dopiero w późniejszych latach działa skutecznie.

Młodzież otoczona opieką rodzicielską żyje w domu i w rodzinie. Tu myśl swą rozwija, uczucia wyrabia, tu zapał w niej się roznieca, tu poznaje jakie dziś drogi przed nią rozwite — jakie cele postawione. Ale ileż jest młodzieży bezdomnej? Iluż to jest takich, którzy wyrwani z pod opieki rodziny, rzuceni w dalekie strony od chat swych ubogich, od gór dzikich, oderwani od gawęd i baśni matczynych, pieśni i legend wioskowych, wśród murów miasta nie znajdują nic więcej nad szkołę i naukę? Ubóstwem gnębieni, pracą wyczerpani, tęsknotą szarpani — bezdomni, biedni, sami, zupełnie sami wśród ludnego miasta, przecież łakną i pragną czegoś więcej dla ducha nad gramatykę i chronologię, nad klasę i świadectwo półroczne...

Schodzą się po ubogich, wilgotnych izdebkach po kilku, kilkunastu, aby czytać wspólnie, aby gawędzić żywo, a między niemi nie ma nikogo starszego, któryby wspólnie z nimi taką chwilę przepędził, któryby poradził, pokierował, rzucił ziarno złote i ukołysał serca rozpalone.

Czyż dziwne, iż potem uwierzą i posłuchają tego, kto zjawi się niespodzianie i rzuci wielkie hasło jak błyskawicę płonącą?

Wszak — miast takich „panów z brodą“ możnaby przychodzić do młodzieży ludziom bez maski, nie kryjących się za zasłonami tajemniczości i możnaby podać rękę życzliwą i rzucić słowo dobre a szlachetne...

Dla bezdomnej młodzieży szkolnej, niech się otworzą nasze domy. Urządzamy „fixy“ dla gogów, dla ludzi „na stanowisku“ — dla tych, którzy przychodzą nas bawić — urządźmy raz w tydzień gawędę lub herbatkę dla młodzieży szkolnej, synów włościańskich, którzy tu są sami jak ptaki bez gniazd; niech oni znajdą w domach naszych i ciepło serdeczne i radę dobrą i słowo zachęty i światło jasne... Niech młodzież u nas, w domu, przy nas, odczyty sobie urządza, niech rozprawia nad kwestyą ich żywo interesującą, niech ona tu i tych przyprowadzi, których chce oświecać, a wtedy — prawdziwie nie będziemy się tak trwożyć o los tej przyszłości, która już czasem zanadto czarno się chce przedstawiać.

Młodzież szkół średnich przeżywa najważniejsze lata życia. Potrzebuje sterników i kierowników nader szlachetnych, nie tych, którzy łamią i gnębią lub szyderstwem plwają, ale tych, którzy uszlachetniają i wyrabiają gorące porywy.

Domy nasze dla młodzieży szkolnej powinny być drugiemi gimnazyami, bez tytułów i ustaw c. k. Rady szkolnej, ale z sercem i pracą rodzin, które Ojczyznę widzą i miłują w pracy nad młodzieżą. Jak pająk dla snucia pajęczyny musi mieć przedmiot, o który nić pierwszą zaczepi, tak młodzież, dla snucia marzeń, uczuć i planów o pracy dla narodu musi mieć domy i rodziny...

Tego potrzeba przedewszystkiem tym, którzy są tu „bezdomni“. *Bogusław.*

Nasze ryciny.

Cała Europa ma oczy zwrócone na Rosyę, gdzie odbywa się jakiś proces wrzenia, objawiający się zaburzeniami wśród studentów. Ofiarą systemu rządowego, który nielitościwie ugniata wszelką myśl wolniejszą, padł już minister oświaty Pogolepow, zabity przez Karpowicza, kule Łagowskiego mało co nie dosięgły demona reakcyi — Pobiedonoscewa, a po wszystkich miastach Rosyi miały miejsce burzliwe demonstracye studenckie; kozacy i wojsko uderzało na tłum, siekąc nahajkami, zabijając i kalecząc. Jedną z takich scen, która rozegrała się przed kazańskim soborem w Petersburgu wyobraża właśnie rycina zamieszczona na czele dzisiejszego numeru.

Przed paru dniami odbyło się na pruskim uniwersytecie rygorozum lekarskie, składane przez trzy kobiety, pp. Machównę, Vozakównę i Paigerównę. Rycina nasza przedstawia chwilę, w której rygorozantki wykonują anatomiczny preparat na trupie. Jedna pracuje na nodze, druga na piersiach, trzecia zaś na ramieniu. Dotychczas ośm kobiet studjuje medycynę na wszechnicy praskiej; stalowe ich nerwy są przedmiotem podziwu, a często i zazdrości medyków, należących do płci brzydkiej, choć, jak chce fama — mocnej. Należy również dodać, iż mężczyźni nie zawsze zachowują się wobec swych koleżanek z należytą kurtoazyą. Często nawet dzieje się przeciwnie. Różne zajścia z tego powodu wynikające, należy chyba położyć na karb t. zw. „zawodowej zazdrości“, która niezbyt chlubnie świadczy o kulturze duchowej panów medyków.

Po rycinie, przedstawiającej zajścia z irlandzkimi posłami w angielskiej Izbie niższej, podajemy obecnie fotografię budynku parlamentarnego jakoteż prezydenta parlamentu, Williama Court Gully. Parlament angielski mieści się cały, t. j. zarówno Izba panów jak Izba gmin, w pałacu westminsterskim na brzegu rzeki Tamizy. Jest to olbrzymia budowla w stylu gotyckim, urządzona wewnątrz ze zwykłą u Anglików praktycznością i komfortem. Prezydent Izby niższej, czyli t. zw. *speaker* jest osobistością znaną z ostatnich niepokojów w angielskim parlamencie. On to wzywał posłów irlandzkich do opuszczenia sali, a widząc, że napomnienia jego nie skutkują, zawołał na policję celem zrobienia porządku. Władza *speakera* w Izbie jest prawie nieograniczoną, a sprawowanie jej nie zwykło natrafiać na żadne przeszkody. Zajście z Irlandczykami było pierwszem od dość dawnego już czasu. Na rycinie naszej *speaker* jest przedstawiony w swoim urzędowym stroju i peruce, którą posługują się jeszcze w Anglii pewne kategorye dostojników i urzędników, n. p. sędziowie i adwokaci, zapewne celem nadania sobie większej powagi.

Mniejwięcej równocześnie z awanturami w parlamencie angielskim stała się francuska Izba deputowanych również widownią niemałych skandalów. Mianowicie nacjonalista Firmin Faure został na rozkaz prezydenta Izby, Pawła Deschanela, przez policjantów usunięty z mownicy. Rycina nasza przedstawia właśnie chwilę, kiedy policja podeszła do trybuny, na której stoi Firmin Faure; w głębi Deschanel nakrywa głowę na znak, że posiedzenie zostaje zawieszone. Dokoła toczy się żywa rozprawa wśród deputowanych.

Ostatnie szczątki „jarmarku narodów“ znikają z placu wystawy paryzkiej. Ostatnio zabrano się do burzenia bramy wchodowej *Porte monumentale,* na której szczycie widniała ośmiometrowa statua Paryżanki; wiatr i deszcze nie przeszły nad nią bez śladu, lecz ogółem biorąc, piękna dama w eleganckim, modnym stroju przedstawiała się z daleka dość jeszcze powabnie. Wreszcie przyszedł koniec i na nią. Uwiązano jej do słóp i głowy liny, jeden robotnik siadł na głowie statuy, drugi uczepił się piedestału i „Paryżanka“ zjechała po sznurach na dół. Podobno jakiś węgierski magnat zamierza kupić ją i postawić w parku budapeszteńskim.

Gmach sejmu węgierskiego znajduje się malowniczem położeniu nad brzegiem Dunaju. Mieści on w sobie sale posiedzeń izb wyższej i niższej. Jak widać z ryciny, budynek przedstawia się bardzo okazale i efektownie.

Rozwiązanie arytmogryfu

zamieszczonego w poprzednim numerze:

K
l **a** k
s e **r** e t
b a r **o** c c o
l u d o **l** f i n a
K a r o l L i b e l t
a p o l **i** n a r y
b a r **b** a r a
G r **e** c y
e **l** a
t

»PSUBRATY«.

Powieść na tle stosunków współczesnych.

CZĘŚĆ DRUGA

(Ciąg dalszy).

— Odpowiedzi księcia Czarotyńskiego na zadawane dyskretnie w tym przedmiocie pytania były tak niejasne, że pod błahym pretekstem poprosiliśmy go o wszystkie jego dokumenty, między któremi spodziewaliśmy się znaleść także i metrykę ślubu. Gdy jej jednak wśród nich nie było, musieliśmy jej zażądać wyraźnie, gdyż poczynaliśmy mieć wątpliwości co do jej istnienia.

— Okazało się, że metryka była w przechowaniu u księżnej. Była autentyczną; ślub zawarty został w kościele St. James na Wabash-Avenue w Chicago. Nazwisko jednak panieńskie księżnej brzmiało wcale nie po amerykańsku: Janina Gwiazdek. Urodziła się w Buenos-Aires ze związku nieślubnego. Była to nić, po której nie bez pewnego mozołu doszliśmy do kłębka. Dokumenty Janiny Gwiazdek były zupełnie w porządku, ale trzeba trafu, że właśnie przed niedawnym czasem konsulat z Rio de Janeiro zapytywał nas czy nie znamy osoby noszącej to imię, która miała wejść w związki małżeńskie z jakimś Francuzem i zupełnie pozbawiona była dokumentów; opowiadała tylko, że przyszła na świat w domu niejakiego Bukszpana, żyda trudniącego się niegdyś handlem żywego towaru, że matka jej uciekła stamtąd zostawiając swe legitymacye w ręku Bukszpana. Zapytywano nas tedy, czy nie wiemy co o Bukszpanie albo o matce i pochodzeniu Gwiazdkównej, ostrzegając zarazem przedtem, aby jej legitymacyi ktoś nie nadużył.

— Oczywiście metryka księżnej Czarotyńskiej w zestawieniu z temi wiadomościami była dla nas jaskrawym błyskiem światła. W porozumieniu z konsulatem w Rio de Janeiro poczęliśmy badać historyę importowego domu Bukszpana i dowiedzieliśmy się nader ciekawych szczegółów; dowiedzieliśmy się między innemi, że wnuczki Bukszpana dzięki miljonowym posagom powychodziły za utytułowanych ludzi, że jedna z nich jest małżonką jednego z magnatów galicyjskich i stwierdziliśmy, że istotnie wszystkie trzy byłe panny Bukszpan pozostają w mniej lub więcej ożywionej korespondencyi z księżną Czarotyńską.

— Niebawem także policya wiedeńska dostarczyła nam informacyj, według których bez wielkiej domyślności odgadliśmy kim jest księżna. Otóż okazało się, że Simche Bukszpan, umierając, prócz miljonów zapisanych wnuczkom, zostawił także miljon w depozycie wiedeńskiego Unjonbanku. Depozyt miał być wypłacony po jego śmierci za przedłożeniem odpowiednich legitymacyj niejakiemu Gottliebowi Müllerowi oraz niejakiej Izabelli Finländer. Ponieważ za Izabellą Finländer rozpisane były listy gończe, jako za główną ajentką dostarczającą domowi Bukszpana „żywego materyału“, przeto policya wiedeńska czyhała na chwilę, w której ten ptaszek będzie podejmował z Union-Banku honorarjum za swoje haniebne rzemiosło. Miało się jednak do czynienia z szczwaną łotrzycą. Schwytano tylko jakieś podstawione indywidua, od których tymczasem pani Finländerowa odebrała już swoje pieniądze.

— Stwierdziliśmy dalej, że działo się to w tym samym czasie, kiedy książe Czarotyński opuścił nagle swoje urzędowanie w Wiedniu i znikł bez śladu. Trzeba było szukać owego Gottlieba Müllera, który niewiadomo z jakiego tytułu dzielić miał z Finländerową Bukszpanowy spadek. Figura to ze wszech miar podejrzana: notoryczny ajent rzędu pruskiego; po epizodzie z Union-Bankiem schwytano go i postawiono pod sąd, jako podejrzanego o udział w sprawie jakiegoś wojskowego szpiegostwa w Galicyi; poszlaki były duże, ale opieka, jaką się ze strony niemieckiego rządu cieszył Müller, dość potężna, aby zapewnić mu wyjście na sucho z całej tej afery. Przesłuchaliśmy go odnośnie do osoby pani Finländerowej; opowiedział nam bez ogródek, że w podróży po Ameryce poznał się ze starym Bukszpanem, że w dłuższy czas po jego zgonie zjawiła się u niego Finländerowa z hebrajskim testamentem i z legitymacyami Janiny Gwiazdek, że zaproponowała mu podjęcie miliona wśród ostrożności, które się powiodły, że wypłaciła mu jego część i wyjechała z młodym księciem Czarotyńskim, który u nich bywał w Wiedniu, gdzie Müller udawał ojca Finländerowej i żył na wielką skalę.

— Postaraliśmy się o przesłuchanie osób, które bywały u Müllera w Wiedniu; była to przeważnie złota młodzież, wprowadzana tam przez niejakiego Włodzimierza Opowskiego, bawiącego obecnie w Paryżu. Nikt z nich nic nas nie umiał objaśnić. Opowski był przesłuchiwany w Wiedniu zaraz po ucieczce Finländerowej; okazało się jednak, że nic nie wiedział o przeszłości osób, do których wprowadzał przyjaciół, a czynił to jedynie z polecenia księżnej Berty Starosłupskiej, z domu Bukszpanównej, która dziś jest jedyną kobietą bywającą od czasu do czasu w domu książąt Czarotyńskich. Księżnej Starosłupskiej nie przesłuchiwaliśmy dotychczas. Ze względu na stanowisko Starosłupskiego byłby to eksperyment zbyt drażliwy, tem więcej, że mało użyteczny, bo prawdopodobnie księżna Berta nic nam nowego nie powie, choćby nawet co wiedziała. Zresztą odnośnie do przeszłości księżnej Czarotyńskiej wiemy już chyba dosyć. Nie o tę przeszłość idzie też, ale o co innego...

Tu komisarz przerwał, bo sędzia śledczy otworzył drzwi, wołając:

— Proszę!

Komisarz wraz z Froschem weszli napowrót do biura sędziego; Finländer właśnie podpisywał protokół, poczem jął wkładać na nowo zdjętą z prawej dłoni czerwoną rękawiczkę.

(C. d. n.).

Z drukarni i stereotypii A. Koziańskiego w Krakowie. Odpowiedzialny Redaktor i Wydawca: Kazimierz Ehrenberg.